

n. 11

14

N. d. № 144

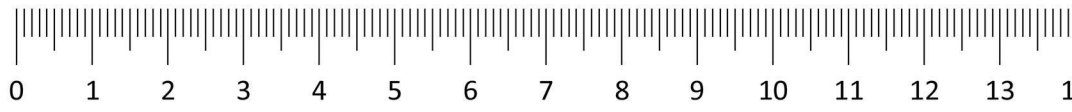
DOM
STAREGO WIESZCZA
WIELKOPOLSKIEGO.



Top. № № 247

POZNAŃ,
NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1858.

L. W. J. L.



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



II

261255

Wypożycza się
tylko do czytelní

Dom starygo warszawa.

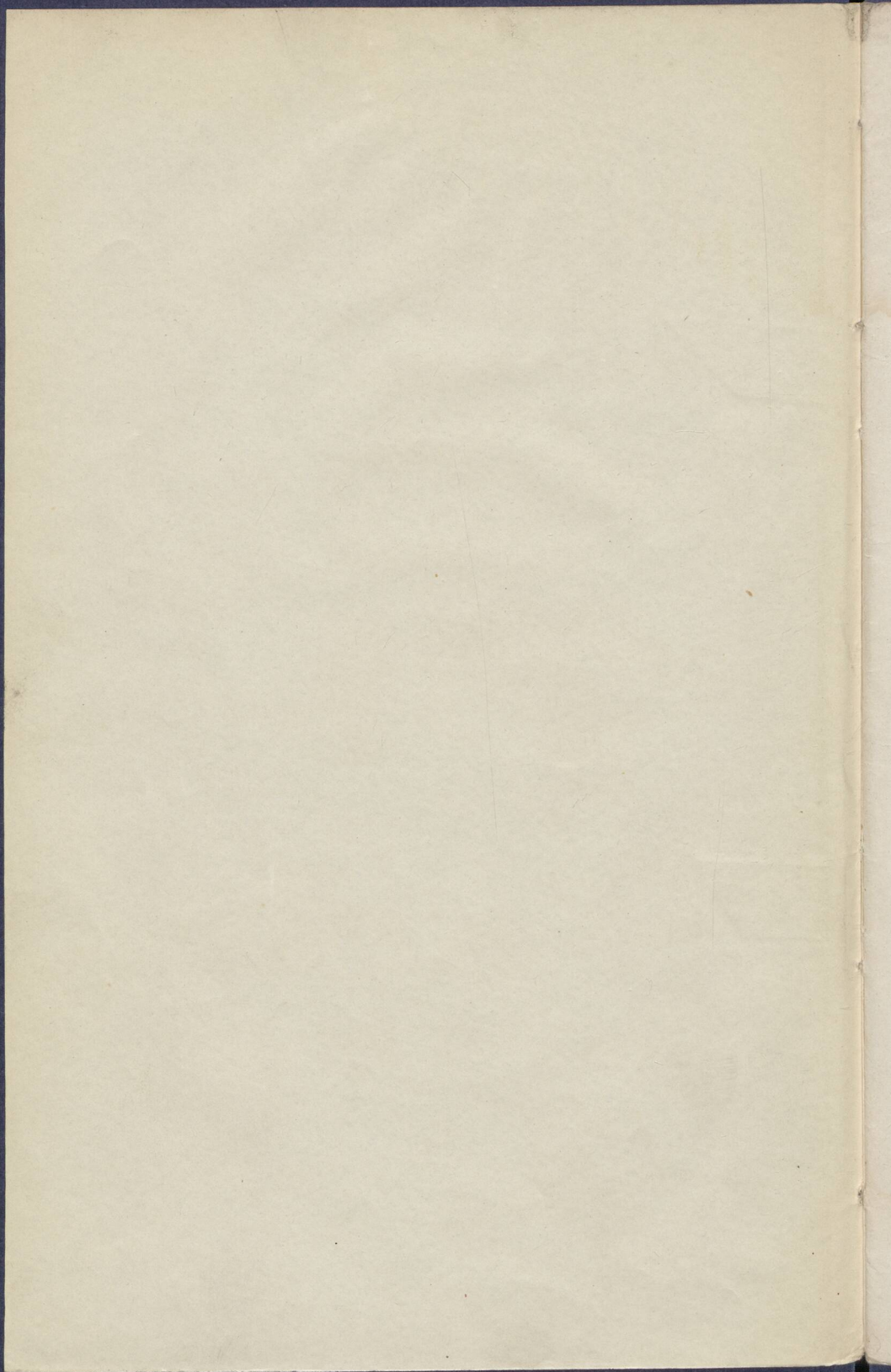
VII A

76

III B329



VII A 76



n. 11

14

J. d. Nr 144.

DOM
 STAREGO WIEZCZA
 WIELKOPOLSKIEGO.

Handwritten signature in blue ink



Top. N. Nr 247.

POZNAŃ,
 NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
 1858.

Handwritten signature in blue ink

1919. 11. 16

ak 2858

261255 II



VII A 76

1919. 11. 16



1950. Da. 4249

DOM

starego wieszca wielkopolskiego.

Cześć i uszanowanie jakie otacza mężów zasłużonych w narodzie, jest oznaką i miarą wartości i tych pojedynczych ludzi, którzy je niosą i epoki w której żyją. Biada pokoleniu, które odrzuca i poniewiera zasługi w innym czasie i w innym duchu i kierunku, od tego jakie sobie obrało, położone, nie pomnąc że w życiu narodów jedna epoka jest podstawą drugiej, następna wywiązuje się z poprzedniej, i czysta chwała i zasługi jednej są chwałą i zasługami na wszystkie czasy i pokolenia. Była u nas pora i nie zbyt od nas odległa, która miała właściwych sobie bohaterów, mężów wielkich, pisarzów i wieszczów, z poniżeniem i pogardą tych wszystkich, którzy ich w niedawnych latach po-

przedzili, a którzy przecież w swoim czasie dobrze się zasłużyli krajowi i sławieni przez niego byli. Z owego czasu tak pogardzonego od jednych, tak mało znanego młodemu plemieniu, nie wielu już ludzi, którzy się w rozmaitym zawodzie odznaczyli pozostaje. Tych którzy są jeszcze, szanujmy jako świadków dawnego życia kraju, jako uświęcone wiekiem, ofarami, cierpieniem zabytki naszój przeszłości.

Wielkopolska, która nie wielu krajowi dostarczyła celnych poetów i znakomitych prozą pisarzów, cieszy się czerstwą starością jednego z synów swoich, który zasługi rycerza połączywszy z chwałą wieszczą jój odblaskiem upromienia ziemię, na której się rodził. Tym synem Wielkopolski jest wojownik, który od roku 1806 pod sztandarami ojczystemi walczył, jest jeden z małej liczby pozostałych jeszcze na téj ziemi dowódców wojska polskiego, jest śpiewak Wisły, Giermka, Dworca i tylu pieśni tkliwujących lub rozgrzewających nasze dusze, jest opowiadacz najdowcipniejszego apologu polskiego, jest to ten mąż, który tyle zasług położywszy w ojczyźnie, gdy spoczął na ojczystym zagonie, czerpiąc zawsze natchnienie w wierze, w miłości i w nadziei nie przestał głosić cnót i zacności ojców naszych, chwały przeszłości naszój, nie przestał utrzymywać w sercach płomienia wszystkich świętych i prawych uczuć, a tym mężem jest *Franciszek Morawski*.

Niema godzin w życiu naszym trwalszego wrażenia i pamięci, nad te, które nas zbliżają do mężów chwały, do tych w których sercu płomień boski, w piersiach pieśń dzwięczna — których czoło pokrywa przybytek, gdzie się rodzą postacie i twory wiecznem życiem żyjące. Do najpamiętniejszych chwil moich zaliczam te, w których stanąłem przed trzema władzcami słowa, trzema wieszczami naszego wieku i dozwolone miałem skłonić się wśród ich ścian domowych w roku 1829 Göthemu w Weimarze, w 1830 r. Szatobriandowi w Paryżu i w roku 1854 także w Paryżu wieszczowi litewskiemu. Pamiętnemi także, ale jeszcze droższemi bo uświęconemi przyjaźnią są dziś dni, które zdarza mi się przebywać w domu wielkopolskiego poety. Sądzę że ta przyjaźń nie zaślepią mnie, gdy mniemam, że czytelnik chętnie da się wprowadzić do tego domu, w którym wiara, cnota, zasługa, dowcip i duch poetycki przebywa.

Jadąc w powiecie wschowskim dawnym gościńcem z Krobi do Leszna na połowie drogi, przejechawszy w poprzek ulicę nad którą chaty wiejskie długim rozciągnęły się szeregiem wieżdżasz w ogród, w którym uderzają cię wyniosłe drzewa długi i gęsty cień rzucające, i przezierające się po prawej i po lewej stronie drogi w czystych wód zwierciadłach. Już przebywając pola téj włości zwróciły na się twoją uwagę

ulice drzew owocowych starannie utrzymywane, ułożone nad nimi ogromne głązy z ziemi uporczywą pracą wydobyte, i wśród okolicy, która się wzorowemi gospodarstwami zaleca, uprawa roli najstaranniejsza i bujność plonów, która przypomina wzorowe rolnictwo zagraniczne. Włość ta nazywa się Lubonia — Lubonia zaś jest mieszkaniem i dziedzictwem naszego wieszca, dziś zacnemu jego synowi ustąpiónem. A ten syn z równym powodzeniem uprawia łany swoje, jak ojciec niwę poezyi ojczystej, i zdaniem najwięcej doświadczonych gospodarzy, starannością pracy około roli, sztuką zarządu, sprężystością i wytrwałością w rozsądném działaniu jest jednym z najwięcej wzorowych rolników wielkopolskich.

Przebywszy ten ogród luboński widzisz wśród niego nie daleko gościńca dom mieszkalny starannie przyozdobiony, i na pierwszy rzut oka przekonywasz się, że nie wystawa, nie przepych, nie zbytek, lecz dobry smak, porządek i staranność najwłaściwszych dostarczają ozdób obywatela polskiego mieszkaniu. Domek ten jest skromny, nie obszerny, w znacznej części dawniej budowy. Ale tu się urządził ładny ganek, tam balkonik, tu się dach rzeźbami przystroił, tam się dobudowała piętrowa przystawka i ozdobna kaplica, i z różnych części złożona utworzyła się bardzo wdzięczna całość. Zajedziesz przed dom wszędzie czystość i porządek, wcho-

dzisz w jego wnętrze, urządzenie wewnętrzne odpowiada jego powierzchowności. Nigdzie zbytku, wszędzie przyzwoitość, wszędzie i we wszystkim związek i zgoda, i zaraz przypomina ci się owe miłe wyrażenie Horaciuszowskie *Simplex munditiis* które tak dobrze oznacza prostotę z dobrym smakiem, porządkiem i przyzwoitością połączoną. Na progu tego domu wita cię serdeczna gościnność, lecz ty dążysz tam gdzie się nie jedno poetyczne natchnienie zrodziło. Wchodzisz do obszernego pokoju (dobry syn najobszerniejszy i najwygodniejszy wybudował i przeznaczył dla ojca). W nim nad łóżem widzisz umieszczone zwyczajem bogobojnych ojców naszych wyobrazenie ukrzyżowanego Zbawiciela naszego, przed nim przyklękając gospodarz domu zwykłą ranną modlitwą dzień zaczynać, wieczorną kończyć. Uderzają cię potem pozawieszane na ścianach wizerunki przyjaciół, towarzyszków broni lub lutni naszego rycerza—poety. Tu spotykasz się z rysami Niemcewicza, Mostowskiego, Krópińskiego, Chłopiczkiego, ks. Antoniego Sułkowskiego, Kajetana Koźmiana, z którym go półwiekowa przyjaźń łączyła i któremu on poświęcił tak czułe wspomnienie z tak dokładną znajomością duszy przyjaciela i z tak właściwą miarą skreślone. Na drugiej ścianie przypatrujesz się obrazom wieszczów ojczystych lub obcych, których on najwięcej umiłował, Kochanowskiego, Mickiewicza, autera Irydiona, Zale-



wskiego, Słowackiego, Szekspira, Göthego, Szillera, Byrona, Szatobrianda. W tém ocenieniu i uczeniu pisarzy różnych szkół i różnego natchnienia poznajesz autora listu do klasyków i romantyków, w którym brzmiał głos sądu zdrowego i bezstronnego. Sąd takiowy dziś dopiero zaczyna być uszanowanym, bo on uznawał piękność i siłę poetycznego ducha, gdziekolwiek i w kimkolwiek się objawiła, a tylko chłostą satyry i dowcipu ścigał przesadę, zarozumiałość jednych, upor i uprzedzenie drugich.

Na tém obszerném krześle siadywa zwykle nasz poeta, w niém nie jedna utworzyła się bajeczka, nie jeden zrodził się wiersz jędrny, silny lub tkliwy. Tu przy tym stole wiersz ten poczęty w duszy, wyrobiony w umyśle, przelany został na papier. Lecz niestety! nie jeden nie wpisany w żadną księgę, w żaden pożądniejszy sextern, lecz skreślony na jakim swistku, na liście, na kopercie, na kawałku papieru jaki popadł pod rękę, na zawsze zaginął. Nie można bowiem za-tać iż przywarą naszego pisarza, nałogiem od dawna nabytym i zakorzenionym jest niedbałość, obojętność, brak pieczołowitości około płodów swojego talentu. Jest on ojcem, który dzieci swoje wykształciwszy i wydoskonaliwszy umysłowo i moralnie, nie dba ani o ich powierzchowność, ani o ich utrzymanie, ani o los dalszy, nie stara się aby się światu dały poznać, a gdy

które pokryjому wymknie się między ludzi, nie pyta w jakiej sukni i w jakim obówiu. Tój to obojętności naszego autora przypisać należy, że on nietylko nie jeden swój własnoręczny rękopism zgubił i odnaleść go nie mógł, ale nawet nie wszystkie drukiem ogłoszone utwory swoje posiada. Między książkami jego znajdziesz dzieła wielu znanych ci pisarzy, nie znajdziesz Morawskiego.

Lecz jeżeli sam autor tak się obojętnym dla swych prac okazuje, ty tój obojętności jego podzielać nie możesz. Chciałbyś więc pożywić umysł i duszę nowém jakim jego natchnieniem, jakim świeżo zrodzonym utworem poetycznym. Pytasz czy jest jaki? odpowiedź otrzymujesz że nie ma żadnego. Nie zrażaj się tą odpowiedzią, ale nalegaj i jeszcze nalegaj, a usłyszysz albo może jaką poezją, w której myśl świeża i prawdziwa, czucie tklive lub ogniste a zawsze zacne, w której autor nie wykoszlawia języka dla ułatwienia sobie rymu, nie męczy się z układem słów, nie plami czystości mowy, lecz w której wiersz jak gdyby sam się utworzył, sam ułał, płynie swobodnie i dźwięcznie; a płynie nie na to, aby marny dźwięk przynieść, lecz ażeby pożywić umysł pokarmem zdrowym i potrzebnym obecnemu czasowi, albo duszę napoić uczuciem rzewnem lub szlachetnem. Może téż wyprosisz sobie jaką bajeczkę stawiającą przed oczy żywy

obraz, z której często iskry złośliwego dowcipu przyskają, a która pewnie temu tylko nie przypadnie do smaku, któremu dobrą nauczkę przyniesie. Może na koniec i z prozy przeczyta ci gospodarz przyjemnie opowiedziane jakie wspomnienie z przeszłości, czy wojenne, czy literackie, czy towarzyskie, ale zawsze zajmujące, które przecież papier uchwycił, a których zbiór jakżeby szacowny stanowił pamiętnik. Lecz nie dość ci na tém przekonaniu, że umysł naszego sędziwego pisarza jeszcze czerstwy i czynny, że ognia jego duszy zima życia nie przygasza, chcesz wiedzieć czy téż jego dawniejsze natchnienia nie stracone, czy prace jego zebrane i zachowane i czy do ich poznania powszechność krajowa przypuszczoną zostanie. Pytasz więc, badasz i dowiadujesz się z pociechą że utwory poetyczne naszego wieszczą jakie się wynaleść dały, są już przepisane, uporządkowane i do druku przygotowane. Dwa tomy z nich można złożyć. Jeden mieściłby bajki których liczba do 120 dochodzi, drugi różne poezye, do których dołączyć należy ów wyborny przekład Andromaki Rasyna, który w dawniejszych czasach na scenie warszawskiej z tak żywém uniesieniem został przyjęty, i który pozostanie wzorem jak poeta poetę tłómaczyć powinien.

Na tę wzmiankę o Andromace, o Rasynie, może nie jeden z znawców i krytyków zagrzeźły w bezdro-

zach literackich dopiero co ubiegłego czasu, parschnie ze śmiechu, lub jeżeli jest nieco ugrzecznionym, z uśmiechem politowania spojrzy i na Rasyna, i na Andromakę, i na jój tłumacza, i na tego, który to tłumaczenie wychwala. Lecz nim ten sędzia i znawca wydobędzie się wraz z całym swoim zaprzęgiem z błotnistych i rozbitych kolei, niech się dowie, że krytyka obecna stała się wszechstronną, żadnej wyłączności nie uległa. W utworach, które z czasu swojego wykwitły i nie tylko w czasie swoim były cenione i umiłowane, choć dzisiejszemu usposobieniu nie odpowiadają, wykryje ona te piękności, które zawsze i wszędzie pięknymi będą, te zalety, które istotną i wewnętrzną ich wartość stanowią, jak równie te wady i błędy, które z chwilowego smaku i wyobrażeń wypłynęły. Żaden krytyk dzisiejszy zasługujący na tę nazwę, nie będzie zachęcał piszących do naśladowania Rasyna, do tworzenia dramatów formą, układem, sposobem wysłowienia, jego tragedje przypominających, lecz żaden nie zaniedba wykazać jego głębokiego pojęcia serca ludzkiego, jego doskonałej znajomości namiętności — zwłaszcza miłości — jego sztuki w wywoływaniu silnych wrażeń i uroku jego mowy. A jeźliby zdanie takiego krytyka do przekonania nie trafiło, kiedy wyżej wspomniałem o wizycie mojej u autora Fausta, niech mi wolno będzie zapewnić, że gdy rozmowa toczyła się o sztuce dramatycznej

francuzkiej dawniej i współczesnej, a w szczególności o Rasyńce, i gdy rzekłem: „Dziś gdyby Rasyńca powstał, uniknąłby błędów, jakie w nim rażą.“ Göthe z uśmiechem mi odpowiedział: „Wierz mi panie! życzymy sobie nowego Rasyńca, choćby z dawnego błędami.“

Cztery mamy przekłady Andromaki w polskim języku. Pierwszy Morsztyna, w którym w ustach Hermiony następujący wiersz i jemu podobne znajdujem:

Kawaler w lot to pełni, co mu każe dama,

i który prawie cały z tym smakiem właściwym u nas początkom ośmnastego wieku jest dokonany. Drugi przekład Alberta Miera, któremu tłumacz całe swoje literackie życie poświęcił, i który wystrugany, wyheblowany, wypoliturowany, jeden tylko rasyńcowski przymiot ogłady i poprawności zachował. Trzecie tłumaczenie Franciszka Salezego Dmóchowskiego byłoby w wartości pierwszym, gdyby nie było przekładu Morawskiego. W tym ostatnim bowiem wszelkie cechy przekładu zatarły, i gdybyś nie znał w oryginale Andromaki czytając lub słysząc to jój tłumaczenie, pewny byłbyś że utwór oryginalny poznajesz. Spodziewać się więc należy, że jeżeli ten przekład téj najpatetyczniejszej i najsilniejszej namiętnością tragedyi Rasyńca ukaże się w druku, nie odrzuci go publiczność dzisiejsza, lepszy smak i czerstwiejsze wyobrażenia literackie teraz ob-

jawiająca i znajdująca upodobanie tak w sile i w prawdzie uczucia jak w mowie wzniosłej i ognistej.

Gdybyśmy już w posiadaniu byli tych dwóch drukowanych tomów, na trzeci złożyła by się proza naszego autora, a na jej czele powitalibyśmy ową piękną mowę na obchodzie żałobnym księcia Józefa Poniatowskiego w Sedan powiedzianą, która była pierwszym wieńcem z kwiatów ojczystych na grób bohatera rzuconym, pierwszym wyrazem uroczystym czci i żalu wojska całego — i całego narodu. Mowa ta acz w kilku wydaniach ukazała się, nie znajduje się już po księgarniach; a mimo całej swój wartości mało jest znaną dzisiejszej publiczności.

Jeżeli z przyjemnością przebywałeś w pokoju naszego poety, oddalasz się z niego z miłym uczuciem, bo z nadzieją że prace jego dłużej w ukryciu zostawać nie będą, że je wkrótce kraj cały pozna — oceni — i nowo uszczkioną gałązkę bluszczu do wieńca sędziwego wieszczą wplecie.

Lecz poznajmy jeszcze dokładniej dom luboński, lecz spojrzmy na te dwoje dzieciak ślicznych, dobrych i pojętnych. To wnuczka i wnuczek naszego poety. Rozczulający jest zawsze widok dziecka obok starca, nadziei obok wspomnienia, niewinnej prostoty obok doświadczenia, i rozwijających się sił obok utrudzenia po dłuższem życiu. Nie można więc bez rozrzewnienia

widzieć tu dziadka szczęśliwego pieśzcotami wnucząt, dzielącego z szczerém zajęciem ich dziecinne gry i zabawy, i zrzekającego się dla nich powagi i zaszczytów wieku, rycerstwa i poezyi. Są w pewnych dniach godziny, które on sobie zastrzegł na naukę dla nich, w tych godzinach naucza ich mowy ojczystej, i przeszłości rodzinnego kraju, a młodziutkie umysły chwytają chciwie słowa starca, które dla nich mają tę powagę, i z takim zajęciem są słuchane jak gdyby on sam bywał świadkiem tych wypadków które im opowiada. Lecz widok tych dwojga dzieci o ile rozwesela, o tyle rozrzewnia i zasmuca, patrząc bowiem na nie czuje się, że nie dawnemi czasy dom ten był przybytkiem jeszcze zupełniejszego szczęścia, że z tego koła rodzinnego ubyła ta, która do niego to szczęście wniosła — ubyła matka tych dwojga dzieci. I w istocie dwa lata zaledwie upłynęły jak zgasła w Luboni w 27 roku życia synowa naszego poety — synowa, raczej druga córka, którą on uczuciem ojcowskiem ukochał, którego ona miłością, troskliwością i czcią córki otaczała. Zofia z Taczanowskich Tadeuszowa Morawska, której wykształcenie w latach dziewiczych powierzone było pani Klementynie Hofmanowej, i o której ona nie raz w ostatnich swych pismach z czułością wspomina, równie przymiotami serca, umysłu, jak wdziękiem niewieścim zdolną była uszczęśliwić męża,

a sędziwe lata ojca jego uswobodnić i ozdobić. Gdy jęj dusza rozkwitła była w całej świętości wiary, w całym uroku czułości żony, matki i córki, dotknięta chorobą mimo wszelkich łożonych starań nieuleczoną, osierociła dom luboński i poszła połączyć się z owemi towarzyszkami swemi, które ją równie boleśnym zgonem poprzedziły, a które w życiu rodzinnem były zaszczytem i ozdobą tego kraju.*) Ona była czwartą Zofią wielkopolską w kwiecie młodości i wśród pełni szczęścia domowego zgasła. Od chwili téż jęj zgonu niezatarty smutek powlekl umysł naszego sędziwego wieszca, wpoil się w jego duszę. Wspomnienie szczęśliwszej przeszłości wkorzeniło się w nią, i niejako skamieniało, o nióm jakby w przeczuciu własnej doli poeta tak pięknie w jednym z swych wierszy wyraził się:

Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy;

Taki został, skamieniał — sama śmierć go skruszy.

Swoboda, wesołość, żartobliwość tak właściwe jego umysłowi uszły odtąd bez powrotu, a jeżeli i teraz

*) Przytomne jest zapewne czytelników pamięci, wspomnienie owych sześciu młodych córek, żon, matek które między rokiem 1852 a 1855 sześć znacznych rodzin wielkopolskich wczesnym zgonem żałobą pokryły. Poczet ich rozpoczęła Stefania z Małachowskich Platerowa. Za nią poszły Zofia z Zamojskich Żółtowska, Zofia z Chłapowskich Koźmianowa, Marya z Grocholskich Morawska, Zofia z Górskich Mycielska, i nakoniec połączyła się z niemi ostatnia — Zofia z Taczanowskich Morawska.

w rzadkich objawiają się ocknieniach, to tylko dla tego aby długotrwałym smutkiem obojętnych nie razić, lub drogich sercu jego nie zasmucać. Choć więc z tego koła domowego ubyla ta, która była jego ozdobą, wspomnienie jój zawsze żyje, każda po niej pamiątka troskliwie strzeżona, rysy jój w wiernych wizerunkach zachowane, a na ścianie kaplicy te słowa wypisane: „*Boże zbaw Zofię.*“ Z jój wspomnieniem łączy się zajęcie jakie sobie jedynie w zarządzie Luboni zachował dawny jój pan. Ona lubiła kwiaty, lubiła ogród, trudniła się nim, to jój zatrudnienie odziedziczył teść po niej. Jego więc staraniem ogród ten utrzymuje się w porządku i przyozdabia się corocznie. Miły świeżością i chłodem, bogaty w wspaniałe drzewa, w wiekowe dęby jakich nie łatwo się napotyka, jest on celną ozdobą Luboni. Jeden téż z gości lubońskich przechadzając się po nim, taki wierszyk ułożył:

Kiedy o porannym chłodzie
 Błądę po waszym ogrodzie.
 Widzę jak strojny bogaty
 W wzniosłe drzewa, wonne kwiaty
 Kiedy krzew z owocem witam,
 Różę o uroczej woni,
 Mówię: — wszak ja dzieła czytam
 Naszego wieszczka z Luboni.
 Najprzód zbiór tu kwiatów zoczę,
 Wszystkie wdzięczne i urocze;

Są i zbrojne w kolce, w ciernie,
 Ukłują — boli niezmiernie.
 Każdy więc przyzna bez sprzeczki,
 Że to są twoje bajeczki.

Tam wierzby płacząc u wody,
 Zwieszają w smutku liść złoty,
 To są tkliwe, rzewne płody
 Twego smutku i tęsknoty.

Tu świerki w wiecznej żałobie,
 Modrzew wzbija szczyt wyniosły,
 To twe pieśni co wyrosły

Na najświęszym naszym grobie.

A gdy widzę dąb wspaniały,
 Tylu dawnych wieków świadka,
 Mówię żyć będzie wśród chwały,
 Bo to *Dworzec mego dziadka.*



Gospodarz ogrodu lubońskiego nie raz się w nim przechadza, nie raz dozorecy okiem rzuci na prace w nim wykonywane. Wierny dawnemu nawyknienu, które mu wszędzie serca prostych ludzi jedna, każdego z robotników, z sług, z włościan, którego napotka, zatrzymuje, z każdym pomówi, tabaczką poczętuje, pożartuje z niejednym. Mieszkańcy włości jego znają ten zwyczaj starego ich pana, chętnie się do niego stosują, rozumieją jego żarty i wdają się z nim w pogadankę, co się rzadko w tym kraju zdarza. Uważałem bowiem że włościanin wielkopolski nie jest skory do

rozmowy, nie łatwy do żartów, nie prędki w odpowiedzi. Pozbawiony on jest téj żywości i bystrości umysłu, którą się Małopoleanie a nawet Mazury odznaczają. Gdy parobek tutejszy jedzie wozem, przechodząc koło niego, rzuci mu jakie zapytanie, nie odpowie ci, lub nim odpowie zatrzyma się z wozem, zażąda powtórzenia pytania i dopiero zdobędzie się na odpowiedź. Parobek krakowski lub lubelski nie wstrzyma się w jeździe, w lot twe słowa uchwyci, żwawo odpowie, trzaśnie z bicia, zatnie konie i spieszniej dalej pojedzie.

Lecz jeszcze na chwilę wróćmy do domu lubońskiego, bośmy zapomnieli obejrzeć sprzęt, który już niejaką sławę pozyskał. Sprzętem tym w pokoju jadalnym jest Turek wąsaty w turbanie, w ponsowym chałacie, dźwigający prassę z serwetami. Jest to ten sam Turek, który się w dworcu dziadka znajdował. Nasz poeta urodził się w Pudliszkach, gdzie przez długi czas ojciec jego mieszkał. Ten niewolnik muzułmański odziedziczony po przodkach pozostał był w tamtejszym domu i dopiero przez ostatniego właściciela Pudliszek ofiarowany autorowi dworca, wrócił do rodziny Morawskich. Przypomnijmy sobie w jakim wierszu mieści się o nim wspomnienie:

Przy ścianie gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
 Jako ciągly przybocznik, stróż, i służka wierny,

Odwieczny wszędzie jeniec jadalnej komnaty,
 Klęczał pod prassą serwet Muzułman wąsaty,
 Zdał się on na swój głowie haracz nam przynosić,
 I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić,
 Zeszły wiek w nim podziwiał, rzadki utwór sztuki,
 A Dziadus nim hałaśne, zwykle straszył wnuki.

Dziś dziadus nie straszy nim wnuków, lecz on
 zdaje się jeszcze teraz za Chocim i Wiedeń przepraszać.

Otworzywszy przed okiem publiczności dom naszego poety mógłbym jeszcze i tajnią jego duszy odkryć. Okazać jak w niej wiara coraz żywsza, jak łagodność coraz dobrotliwsza, jak coraz głębsze w niej przekonanie o marności wszelkich rzeczy ludzkich, nawet sławy zasłużonój. Lecz nie poważę się zdradzać tego, co tylko dokładnie może być wiadomem samemu Bogu i najbliższemu sercu naszego wieszca. Skreśliwszy zaś na prędce ręką przyjaźni ten obraz którego wierności nikt ze znających Lubonię nie zaprzeczy, spodziewam się, że miłą rzecz uczynięm mieszkańcom wielkopolskim, i że nawet każdemu z ziomeków naszych który zna *Dworzec Dziadka* przyjemnie będzie poznać dom jego *Wnuka*.



Poznań, czcienkami Ludwika Merzbacha.

